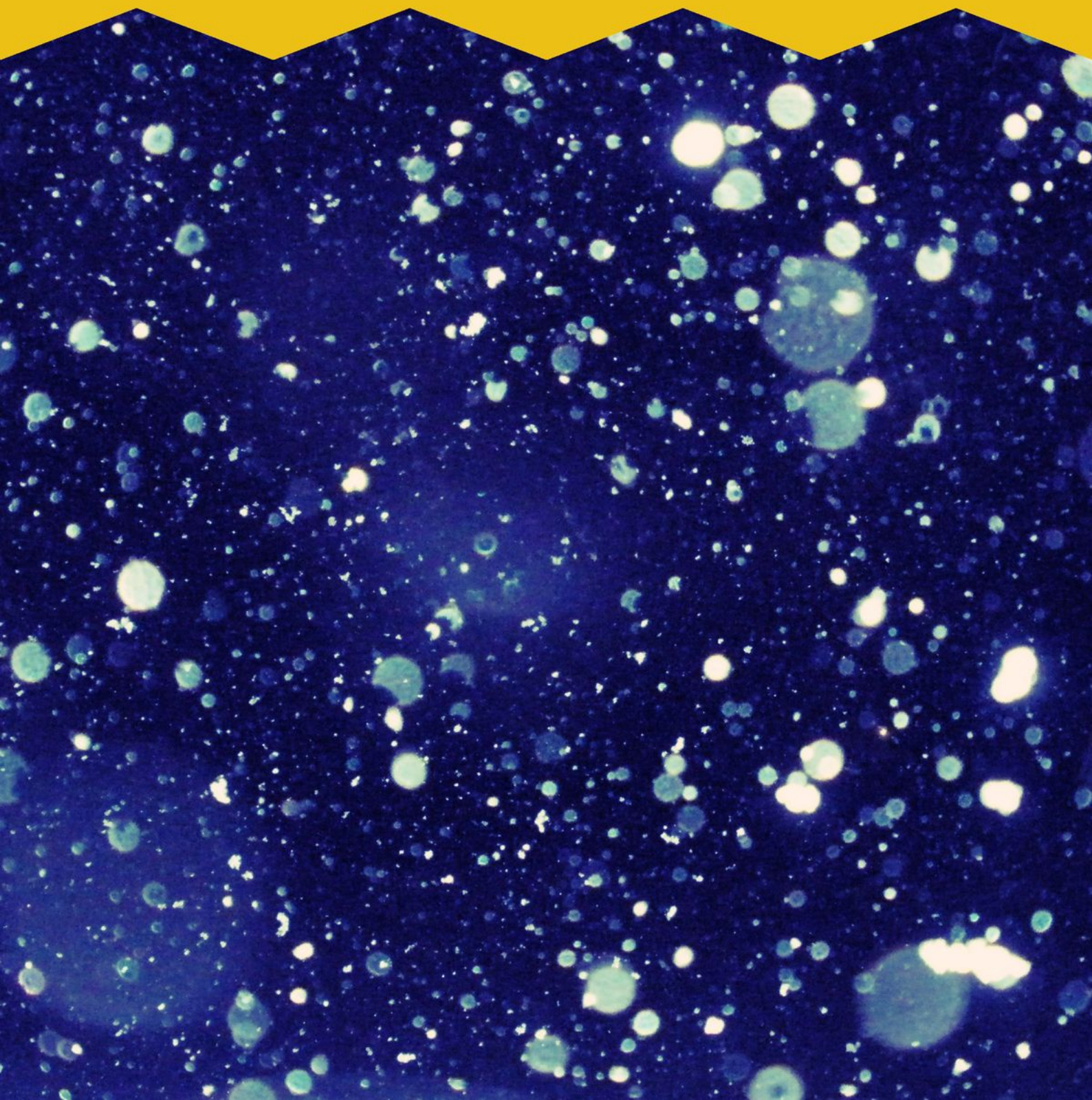


Wesoły dzień



WŁADYSŁAW ORKAN

PLANETY

Wesoły dzień

Ścieżyną wąską, wiodącą krzywemi linjami w górę wśród rozścielających się pustką dokoła ugorów, wspinają się osłabieni ludziska, zmizerowani, wychudli, nędzni... Idą po parze lub pojedynką, potrącani, z wysiłkiem uginają kolana pod ciężarem torb i tobołków różnych wielkości, przewiązanych szarą płachtą przez ramiona i opadających ciężko na plecy. Każdy dyszy piersią całą i wyciąga naprzód z wysiłkiem szyję, którą gniecie węzeł związanych końców grubej łoktusy. Wola każdego walczy ostatkiem sił z przewieszonymi ciężarami, które odciągają wstecz... Idą starcy, kobiety i wyrostki. Ostatnich z nich prowadzi jakaś siła, zrodzona z niezrozumiałej konieczności. Ciężar, obwisający aż do połowy chudych, dziecięcych postaci, kieruje niemi i wodzi na wszystkie strony. Zdaje się, że niejedyn padnie lada chwila: chwieje się, ślania, staje, chlipie powietrze i dalej rusza za innymi... Nie zliczyć krótkich wycieczek, które stwarzają dziwną siłę w tych dziecięcych starcach. Jeszcze to od ziemi nie odrosło, a już ciężar do ziemi przygniata... I nie uwierzyć, że to własna karm ich przywała, że może w myśli już naprzód widziany, wypieczony chleb dodaje im sił do dźwigania ciężkiego ziarna, którego wielki brak w chałupie.

— Życie roślinę pędzi w górę, człeka do ziemi gniece. Bo taka opatrność boska i nic więcej — mówią starzy, a młodzi od starych uczą się rozumu.

— Nie inaczej — powtarzają — nie inaczej... Inaczej nie będzie...

Idą schylone, nikłe postacie ku wysokim Groniom. Idą, jak karłowate, pokutnicze Syzyfa potomstwo, które toczy przed sobą konieczność kamienną — życie. W niejednej twarzy zapamiętałość straceńca zaschła w znieruchomiałości zaciśniętych warg, niejedne oczy błyszczą świeżą łzą lub stoją szklane rozpacz przed życiem, jak przed otwartym grobem, niejedna twarz uśmiechem okoli się gorszym od łez, uśmiechem nagrobego filozofa — ale wszystkie oblicza mają jednaką skamieniałość mumicznych czaszek: czarną skórę, przyschniętą na kości, i ze wszystkich widnieje jeden i ten sam: wieczny, utajony ból...

Idą pustemi ugorami ścieżyną, znikają w potokach, przecinających w poprzek strome działy, wyłażą znów po jednym i dalej pną się ku górze, gdzie już poczynają czernieć jałowce i smreki.

Wyszli na równe wzgórze, gdzie wśród zagonów stoi samotnie kwadratowy lasek. W nim tułą się gęste jałowce i smreki, nieobcinane, rozrastają się swobodnie. Po cieniach gąszczowych chowa się ciche osamotnienie i ku przechodniom wychyla z powikłanych gałęzi — puste oczy... Wyżej, ponad wierzchołki drzew wznosi się czarny, drewniany krzyż.

W nabożnej cichości posuwają się postacie ścieżyną koło lasku i, szepcząc czyścowe pacierze, z wewnętrzną trwogą mijają cmentarz choleryczny. A myśl każdego do lat tych czarnych ucieka i bezwiednie łączy je z przyszłością. „Kto wie, daleko-li ona, ta z kosą?” Nie boją się jej. „Bo śmierci nijako nie uciekniesz. Dogoni cię i na kraju świata”... Jedno tylko przeraża ich: „Żeby jako ta nędza obesza, co się pomału przybliża... Żeby nie wróciły te czarne roki”...

Pod Groniami, do słonka, orze chłop wilgotne pole. Jego schyłona, chuda postać robi wrażenie automatu, przyczepionego do żywej maszyny, którą stanowi żelazny pług, idący ostrem żądłem pod ziemią, i dwa kurczące się z wysiłku stworzenia, dyszące pianą woły.

Małe pacholę jedną ręką przyciska pług, by głębiej pruł kamienistą powłokę, a drugą, okręconą postronkami, których końce około rogów bydła owinięte, podnosi lub ściąga ku sobie, jak wyuczony kierownik-woźnica. Znać, że ojciec niejedną już wiosnę zasiał z pomocą pacholęcia.

— Niech się wprawia! — mówił na prośby żony, by go nie zamęczał — ja najemnika opłacał nie będę. A jak mnie nie stanie, to co? Gorzej, jak bieda nauczy po niewczasie...

Takiem dosadnym rozumowaniem zamykał żonie gębę i brał chłopca ku pomocy w pole... I dziś — od rana chodzą po zagonie tam i napowrót, bez ustanku, wciąż. Tyśiące uszli stóp, nogi same rozchodziły się i znieczuliły, jak drewno.

Od rana nic w ustach nie mieli, a już spory kawałek z południa.

Kiedy nadeszło „przypołudnie”, ojciec wyprzągł woły z jarzma i dał im po wiązce słomy, mięszanej z polannem sianem. Sam zaś wyciągnął kości na rozścielonym płaszczu i zaczął „przemowę” do syna, który żałośnie pozieirał po chałupie.

— Nie patrz, Jasiu, nie. Nic nie wypatrzysz... Wiesz przecie, że mama poszła pod kościół, po ziarno do Marka. Nie przyjdzie aż ku wieczoru. Na wytrzymaniu zależy, moje dziecko... Dziś póst, dzień święty, wielgi piątek... nie wiesz to?

— Dzień święty, a my robimy! — zauważył chłopiec.

Ojciec wyminął odpowiedź.

— Też za to święty, że da robić... Bo jakby łało, to się nie rusz z chałupy i świętuj z musu. Dziś ludzie na całym świecie nic nie jedzą — starał się wmówić w wygłodniałego chłopca. — Nie krzywdź se, bo nie masz o co. Wiesz, bydłeta jeść muszą, boby ustały.

— I ja ustane! — wyjąkał ze łzami chłopak.

— Ho! ho! ho! — zaśmiał się chłop, a żal tajony zadrgał mu na ustach. — Czyś to może nie chłop?! Jasiu! Dycy się śmieli z ciebie, żeś taki wygryzina!..

Starał się wywołać w chłopcu ambicję, którą głód wygnał pod ostatnią podszewę skórną.

— Zresztą — dodał na uspokojenie — jak przyjedziemy do chałupy, to se upieczesz okrawków i będzie. Pojesz na czas, a teraz zaprzęgaj!

I zaprzegli nanowo i dalej łazić poczęli, stawiając chwiejnie stopy. Bo i ojca wnętrzości gryzły. Oscymał synowi, a sam pozieirał od czasu do czasu na wijącą się w dole ścieżkę, czy baby nie zobaczy przypadkiem, bo się cnie. Tak od świtu bez niczego!..

— Poszła — mruży chwilami do siebie — i nie widać jej i nie... O, o, cóż to takiego?

Drapie się po głowie i nawraca po drugą skibę. A tu czas powoli się wlecze, i słońce jakoś dłużej świeci, jakby chciało w nieskończoność przewlekać ten utrapiony póst...

Już był śródwieczerz, kiedy oracz dojrzał idących pustymi ugorami ludzi. Zatrzymał woły i, przysłoniwszy dłonią zamrużone oczy, patrzył na ścieżkę. Przechodził okiem zgłodniałego ptaka wszystkie postacie.

— Nie idzie mama! — szepnął chłopak.

— A nie! — potwierdził ojciec — ona zawdy musi na ostatku!

Popłuł w łapy i krzyknął na woły. Już się nie oglądnał ani razu. „Jak przyjdzie, to będzie. Jeszczebych też oczy tracił po próżnicy!” — myśli w duchu i stąpa po roli; a za nim wrona kroczy, mrużąc jedno oko filozoficznie z wyższością, że sama, nie poniewoli, chodzi se za pługiem...

Już przeszło obok sporo ludzi, a chłop zaciął się i nie zapytał o babę. Pochwalili Boga, dali szczęścia i poszli dalej... Paru zatrzymało się przy nim. Mieli chętkę pogwarzyć i odpocząć choć na jeden moment.

— Dobrze się wam orze?

— E! tak ta. Skale i skale, nic więcej.

— A wasza kany?

— Poszła ku kościołu.

Już nie mógł wytrzymać, żeby się nie spytać.

— Idzie ta? nie widzieliście?

— A dyc idzie za nami, hań, koło potoka — ozwał się jeden z nadchodzących.

Chłop spojrział.

— W samey rzeczy!... — rozwidniła mu się twarz. Synek się roześmiał.

— Cóż ta dźwigacie?

— Kukurzycę.

— A wy?

— Ja wziął pół ćwierci pszenice i pół jęczmienia. Zmiesza się, i baba ta skutwasi co na święta, jaką placynę...

— Po kieloz?

— O, dyć drogo, bo na bóg. Żyd nie opuści. A płacić nima czem.

Wszyscy kiwnęli głowami.

— Nima czem...

— Dużo ta ludu u kościoła? — spytał oracz.

— Dyć niemało. Każdy też, niewycytający, przyjdzie pokłonić się Panieusowi. Ale największy ścisk, to u Marka. Docisnąć się trudno. Bierą: kukurzycę, jęczmień, orkisz, a mąki, to już niemało worków poszło.

— A to wszystko na bóg?

— Ba, juści! O centa we wsi trudno, a każdy chciałby też na Święta cosi gdziesi, bo się wymorzył cały póst, że brzucha nie dopatrzy...

Mimowoli oracz spojrzął na dół i kiwnął głową.

— Nie dopatrzy — powtórzył.

I przechodzili tak po jednym, po dwóch, i znikali razem ze ścieżką w jałowcach, stadem przysiadłych na stromej uboczy.

Chłopu się orać odechciało. Usiadł na pługu. Chłopiec podbiegł przed matkę, która już była niedaleko.

— Jasiu, nie lećże tak! — zawołała zdala ku rozpędzonemu synkowi.

— Przecie wam ciężko, mamusiu, to poniesę za was choć chwilę... — krzyczy, dobiegając zdyszany i gwałtem chce zdjąć tłómk z ramienia matki.

Ojciec siedzi na pługu i patrzy. Dwie lzy, jak szklisty groch, stoczyły się po zoranej bruzdach twarzy.

— Biedactwo! — szepnął — ledwie łązi, a pragnie matce dospomódz...

Przez lzy patrzył ku nim, jak szli pod górę. Za ich nadejściem otarł je rękawem.

— Szczęść Boże! — ozwała się kobieta, rozjaśniając uśmiechem młodą, ale zbiedniałą twarz. — Jakże ci się tu orze? Bartuś!

— Dyć widzisz — wyjąkał sucho, usiłując zakryć poprzednie rozczulenie.

Zrzuciła tłómk, siadła przy nim i pogłaskała go po szorstkiej twarzy. Chwilkę zabłysły oczy jego tklivością, przechodząc z wolna w powszednie zobojętnienie...

Jaś począł „majstrować” koło zawiniątka z pełnem przeświadczeniem, że przecie „coś” znajdzie, że żyd musiał cosi przyrzucić do ziarna. I nie zawiodło go przypuszczenie. Aż mu się oczy zaiskrzyły, skoro dojrzał w odwiniętym troku płachty koniec rogu plecionej kukielki. Ułamał bez pytania i począł łakomie targać zębami.

Matka tymczasem rozpowiadała ojcu o całym podkościelu, o wielkiej procesji ludu, który zwłoczy żywność, skąd może i jak może... Potem o sobie mówiła, jak się wyplakała przed obrazem Ukrzyżowanego, jak targowała ziarno, wiele jej żyd zacenił, a wiele ona obiecała, i tak dalej...

— Wzięłach garść pszenicy, bo z jęczmienia suchy placek. Nie wiem, jak ci się ona uda...

Odwrociła się po tłómk, leżący za jej plecami. Chłopiec odskoczył przestraszony; ręce mu opadły, a w zębach trzymał, nie mogąc przełknąć, ostatni kawałek ulamanego różka. Zaczerwienił się po szyję. Matka spojrziała nań z boleścią, i lzy rzuciły się jej do ocz.

— Jasiu! Dyć się nie bój! Przecie to la ciebie, nie la kogo...

Zawstydzil się chłopiec i ucałował rękę matczyną, która głaskała go łagodnie po zarumienionem licu. Rozłamała kukielkę i podała chłopu.

— Ukąś-że i ty, boś głodny.

— A coź będziesz święcić?

— Nie turbuj się, Bartuś! Upiekę chleb, zaniesę i będzie...

Siedzieli w milczeniu jakiś czas, a słońce spadało z wolna na zachód, nad Zimne Doliny.

- Słonko poczyna się mglić...
- Żałoba idzie od Jerozolimy...
- Idzie na cały świat...
- Smutek na ludzi...

Przyciszonym głosem wyrwały się nabożne słowa, płynąc melodią na wieczność, w opustoszałą dal... Nastrój dziwny ogarnął skupioną na roli gromadkę.

— Nie będziesz orał? — odezwała się żona z prośbą w głosie.

— Jeszcze choć zagon urwę, hań, po kępę... — wskazał ręką.

— Nie, Bartus! Paniezuś-by się gniewał, że ty orzesz, kiedy on za nas na krzyżu umiera. Nie orz, nie!... Musisz się przecie umyć i ogarnąć jakoś do kościoła. Czas wnetki leci...

Chłop podumał chwilę.

— Ha, no, moc boska! Nie dziś, to jutro...

Wyprzągnął woły z pomocą Jasia, który je popędził, uradowany, ścieżyną przed siebie. Pług został na zagonie, do jutra. Bartek torbę na ramię zarzucił — i poszli razem milczącą gromadką pod wysokie Gronie. Wnet schowały ich za potokiem rozłożyste smreki i gęstwą obsiadłe jałowce...

*

Nazajutrz zrana uwijała się Bartkowa baba, żeby jak najprędzej posprzątać w izbie i zejść ze „święconem” ku kościołowi, bo tam ksiądz nie będzie na nią czekał.

— Jasiu! przygotuj chrzan! — woła, zaścielaając łóżko.

Jaś szybko zaczął oskrobywać ze skóry leżące na ławie, wilgotne korzenie i układać je w ręcznym koszyku, w którym na dnie spoczywał poleć słoniny i wędzona kielbasa, przechowywana w sąsiedku od mięsopustu jeszcze, i dwa świeżo wypieczone ze światłej mąki chleby; prócz tego, spory kruszek soli i garnuszek białego masła.

Wnet uwinęła się kobiecina, przelknęła śniadanie jednym tchem i poczęła zawdziewać gorączkowo lachy.

— A główienki przygotowałeś? — woła do Jasia.

— Są!

Skoczył do sieni i przyniósł wiązkę głogowych patyków.

— No, to wszystko!.. — szepnęła do siebie, zawdziła chustkę, wzięła do ręki koszyk...

— Pilnuj tu, Jasiu! A drzwi zamknij, skoro pożeniesz woły, żeby cygan nie wziął, albo jaki światowiec.

Napowiedziała mu dokładnie, co ma robić, i przeżegnawszy się wodą święconą z kropielniczki, wiszącej na odrzwiach, wyszła.

Przed owczarnią, na podwórku, krzątał się Bartek.

— Ostań z Bogiem! — szepnęła.

— Nie siedź ta długo! — rzucił jej na drogę i poszedł do obory wyprowadzić woły, bo słonko wysoko, a pług sam nie urwie ani skiby.

— Jajka! jajka! — rozległo się po osiedlu.

Jaś wypadł przez sień, chłop wyjrzał z obory.

— Co za jajka? — spytał.

— Na święcenie! — woła zdyszana baba. — Zapomniałaś se doznaku i od miedzy musiałaś się wrócić. Jasiu! Tam, w garczku... wyjmij, włóż do konewki i podej!... O!... — oparła się o ścianę — tak mi serce bije...

— To nie leć! — odrzekł chłop z wymówką.

— Nie leć! nie leć!... A ksiądz nie zaczeka!...

Powkładała do koszyka gotowane jajka, które wyniósł chłopiec, i poszła poza izbę, krótszym chodnikiem.

— A nie prawdem gadała? — szepnęła, wchodząc do furtki kościelnego cmentarza. — Już święcą!

I poczęła się przepychać wśród ścisłu, wystawiając naprzód odkryty koszyk, żeby go też nie ominęła święcona woda z kropidła, „bo święcone byłoby nieważne”.

Wielki różnobarwny tłum ludzi rozłożył się cichym obozem na cmentarnym trawniku. Stojące, schylone i klęczące postacie robią wrażenie niemych przekupni na jarmarcz-nem, mieniącym się jaskrawo, tle.

W odkrytych koszykach i na rozścielonych płachtach pełno rozmaitych spożywczych przedmiotów. Przeważa nabiał. Nawet przez sto lat, choćby niosła codzien, nie zniesie kura tych jaj, co się bielą po kościelnym trawniku. Stoją rzędem porozkładane garnuszki masła i bryndzy; nawet soli mógłby na furę nabrać. Chłopina jakiś przyniósł na plecach pełną konewkę mleka; gdzieś tam nawet widać stojące, długie maślniczki. Co ma lud najlepszego we wsi, to pozwóczył na cmentarz. Niech się święci!

A ksiądz poważnie chodzi wśród tłumu i macha kropidłem... Przed nim pochylają się głowy, i wargi machinalnie szepcą wyuczone paciorki.

Na cmentarzu, od strony zakrystji, pali się poświęcone ognisko. Otoczyli je kołem niedorostki, popychając się wzajem i hałasując głośno. Każde dzierży w ręku wiązkę cier-niowych gałęzi, każde pcha się do ognia, co sił, by je choć po końcach opalić w płomieniu świętym...

Tak święci lud głowienki; tak zapewne święcili jego przodkowie, przed tysiącem lat.

Bartkowa baba docisnęła się do samego księdza. Pokropił jej zawartość koszyka; chl-usnął wodą, jak się patrzy. Zadowolona z tego wielce, poszła się przed ołtarz pomodlić... Ale ino na chwilkę wpadła na końdeczek, bo się musi śpieszyć co prędzej do chałupy. Panieus i Matka Najświętsza muszą przebaczyć, bo też tam nie ma kto co zrobić. Ojciec z Jasiem w polu, a tu telo mycia, przątania, że łeb boli na samo wspomnienie. Upiec by się zdało co z mąki i bryndzy, bo przecie Święta, nie co inszego...

Zakończywszy w ten sposób pacierze, poszła za ludźmi, którzy ciżbą wychodzili z ko-ściola.

*

Rano, we Wielką Niedzielę — wielka uciecha panowała w Bartkowej izbie. Jedli świę-cone jajka, święcony chleb ze słoniną i z masłem i święcony chrzan ze święconą solą. Na ostatku wypili po dwa okopiste garczki kawy. Każde wypociło się dobrze przy jedzeniu, i wszystkie twarze poweselały naraz... po takim długim poście!...

Zebrana razem, uszczęśliwiona rodzinną gromadką ozwała się jednogłównym chórem:

„Wesoły nam dzień dziś nastał,
Którego z nas każdy żądał...”

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/planety-wesoly-dzien/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Orkan, *Planety*, Biblioteka Domu Polskiego, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.